

Jan Rokita: Polska lekcja bezkarności. W 40-lecie stanu wojennego w Polsce

Prokuratorzy i sędziowie z „czarnej listy” komisji sejmowej wychowali i ukształtowali własnym przykładem swoich następców, którzy zapamiętali na całe życie, ile jest warta siła prokuratorsko-sędziowskiej korporacji, gwarantującej bezkarność w każdej, nawet wydawałoby się najbardziej beznadziejnej sytuacji – pisze Jan Rokita w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Grudzień '81. Wygaszanie Sierpnia”.

Czterdzieści lat temu ówczesny przywódca polskich komunistów gen. Wojciech Jaruzelski obwieścił, iż wraz z grupą komunistycznych oficerów przeprowadził wojskowy zamach stanu. W nocy z 12/13 grudnia 1981 roku na ulice Warszawy, Gdańska i Krakowa rzeczywiście wyjechały czołgi, a oddziały wojsk wewnętrznych przystąpiły do zdobywania w całej Polsce siedzib „Solidarności”. W tym samym czasie policja polityczna rozwalala drzwi do mieszkań działaczy „Solidarności”, zatrzymywała pociągi i samochody, oraz organizowała obławy na dworcach kolejowych, aby aresztować tysiące ludzi, na podstawie tajnie przygotowanych list proskrypcyjnych. Parę dni później czołgi wjechały do największych polskich kopalń, stoczni i hut, których pracownicy odpowiedzieli na pucz wojskowy strajkiem okupacyjnym. W niektórych miejscach, tak jak w katowickiej kopalni „Wujek”, wyspecjalizowany pluton antyterrorystyczny strzelał ostrą amunicją w plecy do cofających się pod naporem czołgów strajkujących

robotników. Tak rozpoczynała się, mająca trwać siedem lat, fala przemocy i represji, na skalę nieznaną Polakom od czasów stalinowskich.

Tamten pucz, choć Polsce przyniósł konsekwencje tragiczne, miał jednak od początku w sobie coś z groteskowej maskarady. Jaruzelski był zafascynowany ideą wojskowego przewrotu w wersji znanej z licznych, przeprowadzanych z sukcesem zamachów stanu w Ameryce Łacińskiej. Wyobrażał sobie, iż jest politycznym naśladowcą chilijskiego Pinocheta, albo argentyńskiego Videli. Więc wedle owego latynoskiego wzoru powołał tamtej nocy juntę wojskową, która odtąd miała sprawować pełnię władzy w kraju. Z kolei junta rozesłała po całym kraju wojskowych „puczystów”, aby ci przejmowali pod swoją władzę państwowe urzędy i zakłady pracy. Odtąd kierownictwo administracji państwa oraz gospodarki przechodziło w ręce tzw. „wojskowych komisarzy”.

Groteska tych wszystkich posunięć polegała na tym, że „puczystami” byli ci, którzy w swoim ręku nieprzerwanie dzierżyli pełnię władzy. Jaruzelski był przecież nikim innym, jak Pierwszym Sekretarzem partii komunistycznej (PZPR). A „puczyści” nie obalali żadnego dotychczasowego reżimu, bo sami byli owym reżimem. Nie atakowali gmachów rządowych, lecz w tych gmachach kazali się sekretarzom partyjnym przebierać w mundury i pozować na członków junty. Nie zdobywali (jak w przyzwoitym latynoskim puczu) siedziby państwowej telewizji, ale w nocy ucharakteryzowali spikerów na żołnierzy, każąc im od świtu czytać przepisy karne stanu wojennego, w których niemal za wszystko (od strajku po kolportaż ulotek) grozić odtąd miała kara

śmierci. Chcąc zaszokować i sterroryzować społeczeństwo, Jaruzelski zorganizował maskaradę, udając że dzierżący władzę komuniści nagle przeistoczyli się w „puczystów”, tworzących wojskową juntę.

„Puczyści” nie obalali żadnego dotychczasowego reżimu, bo sami byli owym reżimem; nie atakowali gmachów rządowych, lecz kazali się sekretarzom partyjnym przebierać w mundury

Ten udawany pucz przeszedł jednak do najnowszych dziejów Europy, jako fakt o dużym politycznym znaczeniu. Okazał się bowiem ostatnią zorganizowaną próbą obrony systemu sowieckiego

na naszym kontynencie. Wcześniejsze antysowieckie wolnościowe bunty tłumiała bezpośrednio Armia Czerwona; tak było w Berlinie 1953, na Węgrzech 1956 i podczas Praskiej Wiosny 1968. Ale tym razem sowieckie Biuro Polityczne odrzuciło natarczywe prośby Jaruzelskiego o pomoc w likwidacji „Solidarności”, której członkami było dziesięć milionów Polaków. Polscy komuniści wymyślili więc ów fikcyjny wojskowy pucz, gdyż – podobnie jak trzynaście lat wcześniej w Czechosłowacji – czuli, że w obliczu rozkwitu „Solidarności”, wymyka im się z rąk kontrola nad strukturami partii komunistycznej i jej szeregowymi działaczami. W systemie sowieckim armia była zawsze dotąd politycznym narzędziem partii. Jaruzelski wymyślił, iż po to by uratować partię i jej monopol władzy, można te relacje odwrócić, udając w ten sposób latynoskiego Pinocheta albo Videlę.

Przemoc ubrana w wojskowe mundury trwała w Polsce siedem lat, jednak dłużej „puczyści” nie byli już w stanie bronić swojej władzy. Nawet w epoce Breżniewa rządy nad Polską, oparte o nagą przemoc, nie były łatwe, a co dopiero, gdy w Moskwie zaczęła się Gorbaczowowska „głasność”. Co więcej, pacyfikacja odpornej „Solidarności” się nie powiodła, czego dowiodły wielkie strajki w Gdańsku i Krakowie w 1988 roku. Zaś „wojskowym komisarzom” udało się za to doprowadzić polską gospodarkę do takiej ruiny, jak gdyby dopiero co zakończyła się prawdziwa wojna. Czołowi „puczyści” – generałowie Jaruzelski, Kiszczak i Siwicki (tak, tak, ten ostatni – to ten sam, który dowodził polskimi oddziałami tłumiącymi Praską Wiosnę) zaczęli więc negocjacje z demokratyczną opozycją, wydzierając jeszcze tylko na parę miesięcy dla samych siebie kilka kluczowych stanowisk w państwie, w którym faktyczną władzę przejmowała już „Solidarność”. A jednym z pierwszych aktów nowego polskiego sejmku, jeszcze nie w pełni demokratycznego, stało się powołanie specjalnej komisji, której zlecono zbadanie przypadków zabójstw, dokonanych przez Milicję i Służbę Bezpieczeństwa w ciągu siedmiu lat rządów „puczystów”. Listę przeszło stu śmiertelnych ofiar aparatu bezpieczeństwa przedstawił wtedy polski Komitet Helsiński.

Ta komisja, konkluzje ogłoszonego przez nią po dwóch latach raportu, jak i w końcu realne skutki owego raportu – to, prawdę mówiąc, polityczna historia pierwszych lat niepodległości Polski w pigułce. Bowiem historia owej komisji i jej raportu – jak w soczewce skupia w sobie tę jakże charakterystyczną dwoistość i dwuznaczność polityki polskiej tamtego czasu. Z jednej bowiem strony ów raport jest unikalnym świadectwem stworzonego przez „puczystów” systemu zorganizowanego i planowego bezprawia, odsłaniającym mechanizmy prowadzące do zbrodni, a przede wszystkim techniki ich późniejszego

tuszowania. Świadectwem ścisłym i beznamiętnym, wyzbytym politycznej teorii czy literatury, a przez to robiącym na czytelniku tak duże wrażenie. Z drugiej zaś strony, późniejsze losy raportu pokazują głęboki impas i niemożność wyegzekwowania przed polską prokuraturą i sądami jakiegokolwiek sprawiedliwości, choćby nawet na najbardziej elementarnym poziomie. Bez dostrzeżenia opłakanych skutków ówczesnej bezkarności sprawców, trudno zapewne pojąć współczesną determinację polskiej prawicy, dążącej dziś z uporem do odnowy i sanacji polskiego systemu sprawiedliwości.

Zabójstwa w czasie demonstracji ulicznych, pozorowane samobójstwa, zabójstwa z broni palnej, niewyjaśnione zgony w więzieniach, pobicia ze skutkiem śmiertelnym. Sprawa po sprawie, zbrodnia po zbrodni, nazwisko po nazwisku... To prawdziwa typologia bezprawia. Z 1394 kart raportu dowiadujemy się kto z funkcjonariuszy bezpieczeństwa, prokuratorów i sędziów wytwarzał fałszywe dowody, zastraszał świadków, celowo tworzył fikcyjne tropy śledztw, umarzał postępowania karne, w jakich to czynił okolicznościach i jakie czerpał z tego profity. Ten dokument to ponury indeks ludzkiej niegodziwości, robiący tym większe wrażenie, że jego podsumowaniem jest „czarna lista” ludzi ówczesnego aparatu ścigania i wymiaru sprawiedliwości, którzy – jak to formułuje komisja – „nie mają moralnej zdolności do tego, aby służyć niepodległemu państwu polskiemu”. Na tej „czarnej liście” nie ma przywódców politycznych, ani czołowych „puczystów” i działaczy komunistycznych. Tam są tylko „wykonawcy”, czyli ci, bez których nie mogłaby istnieć żadna tyrania, ani żadna dyktatura. I to tylko ci, którzy w latach władzy „puczystów” wzięli udział albo w popełnianiu, albo tuszowaniu zabójstw. Ta lista – to blisko dwieście nazwisk.

*Nie było takiej siły, która
byłaby w stanie zmusić
kierownictwo prokuratury, nie
mówiąc już nawet o sądach,
do pozbycia się ludzi z
„czarnej listy”*

Polski parlament
zaakceptował raport
dnia 4 października
1991 roku. I od tego
czasu rozpoczyna się
właśnie druga
odsłona jego
dziejów. Okazało się,
że jego konkluzje,

choć nigdy przez żadną władzę otwarcie niekwestionowane, były jednak niemożliwe do wprowadzenia w życie. Że nie było takiej siły, która byłaby w stanie zmusić kierownictwo prokuratury, nie mówiąc już nawet o sądach, do pozbycia się ludzi z „czarnej listy”, przyjętej przecież do wiadomości w głosowaniu przez parlament. Szczególnie ciekawy jest mechanizm polityczny, towarzyszący temu impasowi i niemożności. Nie miało bowiem znaczenia, jak w ciągu ostatniej dekady XX wieku zmieniały się koalicje i rządy w Polsce, a zmieniały się jeden za drugim. Nie miało też znaczenia, czy ministrem sprawiedliwości był jeden ze słynnych antykomunistów, skazany w czasach stalinowskich na karę śmierci Wiesław Chrzanowski, czy też fanatyczny były aparatczyk partii komunistycznej Jerzy Jaskiernia. Obojętność prokuratury i sądów na wnioski raportu była dokładnie taka sama. A prawdziwe kuriozum polityczne zdarzyło się w 2007 roku, gdy antykomunista Jarosław Kaczyński po raz pierwszy objął władzę, mianując... szefem polskiej policji jednego z prokuratorów z owej „czarnej listy”, niejakiego Kornatowskiego. Skądinąd wkrótce Kaczyński przyzna się do popełnienia błędu, ale dopiero po doświadczeniu w praktyce opłakanych dla swojego rządu skutków powołania tego rodzaju figury na takie stanowisko.

Czołowi „pucyści” z 13 grudnia 1981 roku umarli w swoich obszernych willach i zazwyczaj grzebani byli potem na warszawskim cmentarzu wojskowym na Powązkach, w kwaterach poświęconych ludziom wybitnym i zasłużonym. „Wykonawcom” stworzonego przez nich systemu przemocy po latach obniżono emerytury, ale tylko jeśli byli funkcjonariuszami Służby Bezpieczeństwa. Prokuratorzy i sędziowie z „czarnej listy” komisji sejmowej mieli z reguły dostatnią starość, a to z racji olbrzymich korporacyjnych przywilejów, jakie w Polsce wywalczyły sobie te grupy społeczne. Przez lata utwierdzili się w przekonaniu o swojej bezkarności, i mieli w tym zresztą całkowitą rację. Co więcej, wychowali i ukształtowali własnym przykładem swoich następców, którzy zapamiętali na całe życie, ile jest warta siła prokuratorsko-sędziowskiej korporacji, gwarantującej bezkarność w każdej, nawet wydawałoby się najbardziej beznadziejnej sytuacji. Nawet takiej, gdy ktoś z imienia i nazwiska wskazany zostaje przez parlament, jako moralnie współodpowiedzialny za zbrodnie. Kiedy Jarosław Kaczyński po raz drugi objął w Polsce władzę w 2015 roku, zdecydował się na podjęcie politycznego ryzyka przełamania owej korporacyjnej bezkarności, choć ze względu na upływ czasu, dla losów tamtego raportu nie miało to już żadnego znaczenia. Zresztą jak dotąd, wcale nie jest jasne, jak skończy się twarda konfrontacja pomiędzy korporacją prawniczą i prawicowym rządem, do której w efekcie doszło teraz w Polsce.

Jan Rokita

Tekst powstał na zamówienie Instytutu Polskiego w Pradze i jest jednocześnie publikowany w dzienniku „Lidove Noviny”.

